№ 37 WARSZAWA, DNIA 14 WRZEŚNIA 1912 ROKU ROK II

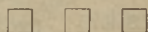


TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

ZAWIEDZIONA LITERATKA

Komedyjka w jednej odsłonie,

przez MARYLĘ ŻARSKĄ.



OSOBY:

WŁADZIO, ANTOŚ, HANIA, HELENKA, WITUŚ — rodzeństwo
KAMILLA, JADZIA — siostry
BABCIA
PANI ŚPIŻARCZYŃSKA
JASIEK, chłopiec kredensowy.

Rzecz dzieje się na wsi — scena przedstawia pokój jadalny.

SCENA I.

Hania, Kamilla.

Hania wyciera srebro, Kamilla siedzi z książką w ręku przy stole.

Kamilla. Że też ty, Haniu, nie znudzisz się tak ciągle przy gospodarstwie,.. takie to jednostajne... brr... aż mnie ciarki przechodzą na myśl, żeby mnie tak kto zaprzągł!

Hania (śmiejąc się). Zaprzągł? No, naturalnie, ale ja to robię z własnej woli i ochoty, zazwyczaj nawet mało, bo mama zajmuje się tem sama przy pomocy gosposi,

aby mnie nie odrywać od lekcji. Ale dziś, pomyśl, mam przecież wakacje z powodu twej wizyty, mamusia wyjechała, a tatuś zdał na mnie wszystkie przygotowania na sobotnią zabawę. Muszę się okazać godną zaufania!

Kamilla. W każdym razie podziwiam cię, moja kuzynko. Ja bo, doprawdy, nie spoglądam w stronę kuchni. W Warszawie mam tyle roboty na moich kursach, ciągłe notatki, wyciągi (tajemniczo). A przytem, wiesz, piszę...

Hania (z radością). Co? doprawdy, Kamilko? A może cię nawet drukują?

Kamilla. Do tej pory jeszcze nie... choć profesorowie chwalili mnie i obiecywali wielką przyszłość. Myślę jednak, że to niedługo nastąpi, a wtedy odrazu zasłynę. Wyobraź sobie, w Bluszczu ogłosili przed miesiącem konkurs na nowelę. Napisałam rzecz niezmiernie oryginalną p. t.: „Pęknięte serce" i posłałam. Zdaje mi się, że dostanę nagrodę. (Podnosi głowę i mruży oczy). Wiesz, jestem tego prawie pewną!

Hania (ściska ją). Jakże dumną jestem z ciebie, to dopiero będzie przyjemnie mieć kuzynkę, odznaczoną na konkursie! Będę chyba odmieniać przez wszystkie przypadki: moja kuzynka laureatka, mojej kuzynki laureatki, mojej kuzynce laureatce... Ale kiedy to się rozstrzygnie?

Kamilla. W bardzo krótkim czasie. Kto wie, może i w tym tygodniu. Tylko, że tu u was poczty tak dziwnie kursują...

Hania. Rzeczywiście, nie często trafia się okazja do miasta. Ale dziś właśnie posłałam po różne specjały na sobotnią zabawę i kazałam odebrać listy i gazety. Spodziewam się wiadomości od mamy.

Kamilla. Chyba ciocia wróci przed sobotą. Ja przyznam się szczerze, wolałabym uciec przed tem waszem wiejskiem zebraniem. Wyobrażam sobie tych waszych sąsiadów czerwonych, ogorzałych, rozprawiających o pszenicy i burakach. Oni się na nastrojach nie znają...

Hania. Nie mają na to czasu, ale pracują porządnie i bardzo owocnie, nietylko dla siebie, lecz i dla innych. Np. nasz sąsiad z Korczyna, bogaty bo bogaty, to prawda, ale w zeszłym roku założył ochronkę dla dzieci folwarcznych, obecnie buduje szpital, a co ma jeszcze projektów!

Kamilla (pogardliwie). Może być, nie przeczę, ale pewnie nie czytał Maeterlincka i zrobiłby wielkie oczy, jakbym mu wspomniała o Wilde'm, a inni...

SCENA II.

Ciż, Władek i Antoś.

Władek. O czem tak żywo rozprawiacie?

Hania. Mówimy o sobocie. Ale wiecie co chłopcy? Kamilla pisze. Posłała w tych dniach nowelkę na konkurs do Bluszczu.

Antoś. Czy doprawdy, kuzyneczko?

Kamilla (siedzi niedbale w bujającym fotelu i zakłada ręce pod głowę). Czego się znów tak bardzo dziwicie? Czyż nie wyglądam na osobę o wyższych polotach?

Władek. Ależ owszem, owszem!

Kamilla. Przecież już dwa lata temu profesor literatury kazał mi głośno odczytać moje wypracowanie i wkońcu mi powiedział: takiej główki powinszować!

Władek. No, no...

Kamilla Dlatego też od tej pory odrzuciłam na bok wszystkie światowe przyjemności. Uczę się, czytam, a w chwilach wolnych tworzę...

Antoś. A kiedy masz czas na zabawę?

Kamilla. Ja nie uznaję waszej zabawy. Nie lubię tej czczej gadaniny bez sensu, tego wiercenia się w kółko.

Władek (zbliżając się do fotelu). To ty Kamilko i tańczyć nie lubisz?

Kamilla. Kuzynie, obrażasz mnie. Osoby tego pokroju co ja, nie tańczą. To dobre dla tych, dla których nogi są głową!

Antoś. Ej Kamilko, bo się pogniewamy. A co będzie z obiecanym wczoraj mazurem?

Kamilla. Teraz mi nie tańce w głowie, ale mój konkurs, moja nagroda. Tem żyję obecnie.

SCENA III.

Ciż Jadzia, Helenka, Wituś.

Wituś. Haniu, Haniu, pani Śpiżarczyńska prosi koniecznie, żebyś zaraz przyszła.

Helenka. Potrzebuje konfitur do ciastek.

Jadzia. Zabrakło jej rodzenków.

Wituś. I migdałów niema. Haniu, chodź prędko.

Hania (zatyka sobie uszy). Ależ idę już, idę, dzieciaki, tylko nie krzyczcie.

Kamilla. No to i ja pójdę. Wuj obiecał zaprowadzić mnie do stajni, aby pokazać nowego wierzchowca. Au revoir, mes cousins! (Kłania się przesadnie).

Wychodzi, za nią Hania, Wituś, Helenka, Jadzia.

SCENA IV.

Antoś (kłania się w komiczny sposób w stronę wychodzącej Kamilli). Kuzynko, cała przyjemność po mojej stronie.

Władek. Paradna jest ta Kamilla. A zarozumiała, a złośliwa... Jak to ona powiedziała o tych nogach?

Antoś. Najwyraźniejsza przymówka do nas.

Władek. Ja jej tego nie daruję. Wiesz co, mam ochotę spłatać jej figla.

Antoś. Figla? Doskonale, ale w jaki sposób?

Władek (namyśla się). Już wiem! Napiszemy do niej list, niby od redakcji, z powinszowaniem, że dostała pierwszą nagrodę, ona to weźmie oczywiście na serjo, będzie się pysznić jak paw, a my będziemy pękać ze śmiechu.

Antoś Ale w końcu się chyba przyznamy, że to żarty.

Władek. Po co? Użyjemy dobrej zabawy, a ona się na tem nie pozna. Ale nie zwlekaj, tylko pisz!

Antoś (bierze papier i namyśla się). Kiedy nie wiem, jak zacząć?

Władek. Poczekaj, ja ci podyktuję (chodzi po pokoju i mówi). Szanowna Pani! cały skład naszej redakcji z ogromnej zajęciem przeczytał cudownie napisany utwór. Tak, utwór... (namyśla się). Na Boga, przeszła pani Sienkiewicza i Orzeszkową (śmieje się) ona gotowa to doprawdy wziąć na serjo!

Antoś. A jak się będzie chwalić Babci, mamusi, Hani. Nie, ja chyba umrę!

Władek. No, kończ. Prosimy się pofatygować do nas, gdzie powitamy wszyscy wybraną przez nas laureatkę. Teraz załącz wyrazy szacunku i podpisz nieczytelnie redaktora.

Antoś. Mądry byłby ten redaktor, któryby drukował jej utwór.

Władek. Masz kopertę?

Antoś. Owszem jest (wkłada list do koperty i adresuje). A teraz zadzwonię na Jaśka. (Wstaje i dzwoni).

SCENA V.

Ciż i Jasiek.

Jasiek (wchodzi). Słucham panicza.

Władek. Jasiek, wiesz, która z tych dwóch panienek, które przyjechały z Warszawy, ma na imię Kamilla?

Jasiek. A juści wiem, ta harda.

Antoś (śmieje się). No to idź do pokoju tej hardej panienki i połóż ten list na stole.

Jasiek (drapie się w głowę). A jakże jej zaniosę, kiedy poszła z dziedzicem do stajni?

Władek (bierze go za ramię). No idź już, idź, przeczyta, jak wróci. Przecież list nie zając, to nie ucieknie.

(D. c. n.)




PORA ŁOWÓW.

Ciąg dalszy.

Jelenie zwykle przepędzają porę dzienną w gąszczu leśnym, a w nocy wychodzą na żer: wtedy na polach, przyległych lasowi, urządzają sobie uczty z ogrodowizn, jak: kapusta, fasola, marchew i inne.

Przez całą noc trwa to żerowanie: osobno jedzą stare samce, osobno łanie z młodemi, a gdy się rozwidniać zaczyna, cała gromada powraca do lasu, pozostawiając zdeptane i wypasione jare zasiewy, a nierzadko powygrzebywane z ziemi młode kartofle lub słodką marchewkę, której zjeść nie zdążyły.

Sarny prowadzą ten sam tryb życia, co i jelenie, są tylko mniejsze od nich i zgrabniejsze. Samiec, zwany przez myśliwych kozłem ma niewielkie różki, zwykle o trzech gałęziach; sarny, czyli kozy nie mają wcale rogów, a oczy ich są dziwnie piękne i łagodne. Kochają bardzo swe dzieci — w razie niebezpieczeństwa, kozioł ucieka a sarna broni ich jak może.

Że jednak nie posiada innej broni prócz małych kopytek, uczy więc dzieci, aby za każdym szelestem uciekały w głąb lasu i tam czekały przyczajone, póki niebezpieczeństwo nie minie.

Młode sarenki są chyba najzgrabniejszemi ze wszystkich zwierząt — złapane młodo, oswajają się łatwo i w dużym parku pędzą równie wesołe życie, jak w lesie. Oprócz jeleni, na które polowano dla zdobycia ich pięknych rogów, zaznaczających każdy rok zwierzęcia nowem

rozgałęzieniem, oraz skóry — do zwierzyny grubej należały łosie, żubry, niedźwiedzie, wilki i dziki.

Ma on groźny i niezgrabny wygląd: nogi mocne, tułów spadzisty ku tyłowi, głowa długa, z pyskiem jakby nabrzmiałym, któ-



S A R N Y.

Łoś jest teraz równą osobliwością jak żubr i zaledwie w kilku tylko zakątkach naszego kraju znaleźć go jeszcze można.

rego wierzchnią wargą zrywa trawę i liście służące mu za pokarm.

Wyrządza on wielkie szkody w lasach,

gdyż nieraz chwyciwszy zębami za korę na młodem drzewku, silnem szarpnięciem zdziera ją prawie aż do wierzchu, wskutek czego drzewko usycha.

Z łosiowej skóry robiono dawniej rycerskie kaftany pod zbroje, rękawice, siodła, lub przykrywano nią posłania. Ozdobą jego głowy są ciężkie, łopatkowate, szerokie rogi, których waga u starego zwierza przenosi nieraz 60 f.

W kuchni staropolskiej należały do przysmaków łosie ozory i mięsiste wargi, zwane po myśliwsku chrapami.

Łoś jest ociężały, spokojny, po bagnach, wśród których się trzyma, chodzi wybornie i pływa bardzo szybko, Raniony wpada w szał i wtedy rzuca się na oślep wprost na myśliwych, których bije rogami, tratuje kopytami — a silne uderzenie rogów tych może człowieka życia pozbawić.

(D. n.)



Gustaw le Rouge.



NIEWIDZIALNI.



Ciąg dalszy.

Pochodnia moja była w trzech czwartych częściach spaloną; śpieszyłem się więc aby wrócić na górę, czego dokonałem z niezmiernym wysiłkiem; zejście na dół było męczącem, lecz droga powrotna bez porównania cięższą. Moja podróż podziemna zajęła mi całe popołudnie; noc już była zupełna, gdy się znalazłem w galerji podmorskiej.

Odpocząwszy i posiliwszy się, uczułem łatwą do wytłómaczenia ciekawość obejrzenia owego kasku, czy hełmu, dla zdobycia którego narażałem się na takie niebezpieczeństwa.

Włożyłem go na głowę, lecz z chwilą, gdy oczy moje znalazły się nawprost otworów hełmu, w których były osadzone przejrzyste kamienie — zaszła we mnie dziwna zmiana.

Mrok, panujący w galerji rozjaśnił się nową światłością. Ujrzałem promienie nieznanego mi światła fosforyzującego, w kolorach ciemno zielonym i ciemno-fijołkowym.

A więc ów hełm, słusznie uważany przez swych dawnych posiadaczy za przedmiot tak bezcenny—robił siatkówkę oka czułą na promienie ciemne widma słonecznego i inne promieniowanie tego rodzaju!

Możeby mi nawet dał możność ujrzenia śmiertelnie szkodliwych promieni radu, lub X, oraz innych, subtelniejszych jeszcze wibracji, które prawdopodobnie pozostaną na zawsze ukryte ludzkiemu oku!

Zaledwie ochłonąłem ze zdumienia, jakiem mię napełniło to odkrycie, kiedy ujrzałem, że tuż koło mnie przesunął się jakiś kształt skrzydlaty i musnąwszy mię w przelocie, znikł w kierunku szklanej wieży.

Poszedłem za nim, dziwnie wzruszony, przeczuwając, że wkrótce przeniknę otaczającą mię tajemnicę.

Podczas drogi, przelatywały tuż obok mnie inne cienie, lecz tak szybko, że zaledwie mogłem je zauważyć.

Wbiegłszy na kręcone schody, znalazłem się w korytarzu jednej z nisz.

Słów mi braknie, aby wam dać pojęcie o straszliwem zjawisku, które ujrzałem! Żadna mowa ludzka nie potrafi określić zgrozy i zdumienia, które mię przejęły!

Każdą z nisz owego szklanego Kolizeum, na które teraz Fobos i Dejmos rzucały swe jasne promienie—zajmował potwór, wydzielający blade, fosforyczne światło...

Ujrzałem olbrzymią, ohydną głowę, na dwóch brudno-białych skrzydłach. Zamiast tułowia, zwisała ku dołowi wiązka długich ramion czy macek, uzbrojonych ssawkami, wijących się po ziemi, jak kłąb wężów. Oczy były szeroko rozwarte lecz bez źrenic, nos szeroki, a usta zaledwie widoczne, czerwono-krwistego koloru.

(Podczas tego dokładnego opisu, słuchacze zamienili ze sobą spojrzenia pełne zgrozy. Lord przerwał stenografowanie, twarz Zaruka pokryła się szarawą bladością, oznaczającą u murzynów najwyższy przestrach—nawet Kerifa przytuliła się, drżąc, do miss Alberty Owładnięty wspomnieniami swych niesłychanych przygód, Robert, nie spostrzegając strasznego wrażenia, jakie wywarły jego słowa, mówił):

— Cała ta chmara obracała na mnie swe martwe oczy, a po chwili śmiech demoniczny, straszny, szyderczy, wybuchnął z głębi przepaści i wzniósł się ku niebu...

Krew mi się ścięła w żyłach, straszliwa trwoga przykuła mię do miejsca z nadludzką siłą, a śmiech ów huczał nademną jak rozszalała burza.

Wreszcie z odwagą rozpaczliwą, czy też mimowolnym odruchem ściganego zwierzęcia, rzuciłem się do ucieczki... Przeskakując po parę stopni nieskończenie długich schodów, leciałem jak na skrzydłach.

Zatrzymałem się dopiero w galerji, gdzie były mumje, czułem jednak, że i tam nie jestem zabezpieczonym przed tymi Niewidzialnymi, przy których Erloory były tylko nieszkodliwemi błonkoskrzydłemi.

Gdybym miał więcej sił, schroniłbym się przed tym śmiechem na samo dno otchłani, z której wydobyłem mój hełm opalowy.

Ach, teraz dopiero pojąłem, jak słusznie ukrywano ten talizman, pozwalający widzieć niewidzialne! Jak mądrze postąpiono, otaczając go skomplikowanemi zasadzkami, broniącemi przystępu!

A więc, już od jakiegoś czasu, żyłem obok tych strasznych istot. Zrobiły sobie rozrywkę ze szpiegowania mnie, podglądania, miały mię wciąż na oku; pilnowały, jak zdobyczy, która nie może uciec daleko, którą znajdą zawsze w czasie przeznaczonym na jej śmierć.

Niewytłómaczone dotąd przygody dni ostatnich stały mi się teraz jasne, jak na dłoni. To Niewidzialni, zaczajeni w roślinach powietrznych, wytępili moich biednych Marsjan, a mnie uwięzili; zdawało mi się, że czuję jeszcze uścisk ich ramion i zadrżałem, myśląc o niebezpieczeństwie, na które się narażałem, zajmując niszę jednego z tych potworów!

Naczynia z krwią wskazywały aż nadto dokładnie, czem się żywią...

Oburzony byłem tem, że na planecie, którą, jak sądziłem, zamieszkują tylko nieszkodliwe dzikusy i ograniczone Erloory, mogły istnieć jeszcze inne, złośliwe istoty.

Napróżno przywodziłem sobie na myśl naukowe wyświetlenie tej kwestji: sama

myśl, że jestem w mocy tych nieujętych istot, była mi nieznośną.

Tak przeszło parę godzin, a ja wciąż siedziałem w swej kryjówce, między dwoma stosami brył kamiennych, z zimnym potem na czole, nie śmiąc się poruszyć, jak zwierz dziki, wytropiony przez psy i osaczony w swej kryjówce.

Byłem pewnym, że lada chwila posłyszę miękki szelest skrzydeł tych potworów, które przylecą z piekielnym śmiechem, aby mię wyrwać z mego ukrycia.

Ten śmiech huczał mi wciąż w uszach, pozbawiając prawie przytomności; nie zemdlałem jednak, starając się panować nad sobą.

Czas upływał — i nic nie mąciło ciszy tej podziemnej galerji: rozmyślając nad swem położeniem, doszedłem do wniosku, iż teraz przy pomocy hełmu opalowego łatwiej uniknę wszelkich zasadzek — i to mię pocieszyło. Chociaż więc był dość ciężkim, nie zdjąłem go z głowy przez noc całą i nie spałem ani chwili.

(Tu Robert, ruchem pełnym udręczenia, przeciągnął rękę po czole. Znać było po nim, iż opowiadane zdarzenia przeżywa powtórnie. Ralf był mocno poruszonym; chciał wszystko opowiedzieć Robertowi, wołać, że Niewidzialni owładnęli Ziemią, że krążą dokola willi, co grozi nieuniknionem nieszczęściem. Lecz miss Alberta nakazującym ruchem ręki zmusiła go do milczenia, a Jerzy i Frymcock spojrzeniem wyrazili potakiwanie. Niech Robert kończy swoje opowiadanie; na złą nowinę zawsze jest dość czasu, przytem, on musi z pewnością znać jakiś sposób obrony przeciw tym potworom. Ralf pokręcił głową z niezadowoleniem, lecz milczał, podczas, gdy Robert, biorąc widoczną na ich twarzach zgrozę, za wrażenie, wywołane jego słowami, owiadał dalej):

— Ze zdziwieniem zapewne dowiecie się, iż od dnia tego upłynęło około dwóch tygodni bez żadnej złej przygody; co więcej — zżyłem się z mymi stróżami i byłem z nimi — jeśli się tak można wyrazić — w dobrych stosunkach. Przekonałem się, iż nie byli źle dla mnie usposobieni; przeciwnie — pokładali we mnie wielkie nadzieje, a ich ostre krzyki były tylko oznaką niezmiernego zdziwienia, jakie ich ogarnęło na widok opalowego hełmu na mej głowie.

Zdobycie tego talizmanu postawiło mię nader wysoko w ich mniemaniu.

We dnie rzadko ich widywałem; w przeciwieństwie do Erloorów, wylatywali równo ze świtem, powracając dopiero wieczorem, każdy na swoje wyznaczone mu legowisko.

W jaki sposób zaopatrywali naczynia, znajdujące się w celach, w krew świeżą — nie mogłem dociec, gdyż ukrywano to przedemną. Znakomicie ułatwiało im wszelkiego rodzaju łowy to, że byli niewidzialnymi, lecz smutne przeczucie (poparte, niestety, dowodami) mówiło mi, że główną ich zdobyczą muszą być Erloory i Marsjanie z bagnistej części planety.

Niewidzialni nie znali mowy; szydercze, ostre krzyki, wyrażające zdziwienie lub gniew, były jedynym ich głosem. Kiedy się chcieli porozumieć z sobą, patrzyli sobie nawzajem badawczo w oczy i przenikali swe zamiary, jak to czynią odgadywacze myśli.

To wszystko i wiele innych jeszcze rzeczy poznałem i zrozumiałem wkrótce.

Z początku latali lękliwie dokoła mnie i jeden z nich, dla zaznaczenia swoich dobrych zamiarów, zaprowadził mię do sali podziemnej, której dotąd nie zauważyłem. Było tam mnóstwo zapasów żywności, widokiem których chciał mnie ucieszyć.

Był nawet tak uprzejmym, iż otworzył pokrywę jednego z pudeł, posiłkując się swemi długiemi ramionami, czy mackami — pamiętam dotąd, jak były wilgotne, zimne...

Dotknięcie ich przejmowało mię najwyższym wstrętem.

Miały ich po pięć z każdej strony głowy, a siła ich i ruchliwość były nadzwyczajne: Niewidzialni używali ich jako nóg, rąk i macek z największą zręcznością. Podnosili z ziemi najdrobniejsze przedmioty, zawiązywali węzły i użytkowali jak najdokładniej z wszelkich narzędzi oraz broni.

Niekiedy chodzili na nich, rozpostarłszy skrzydła, wyglądając jak wielkie motyle, to znów zawieszali się u sklepienia, przytwierdzając się doń za pomocą ssawek, umieszczonych w liczbie trzech, na końcach tych ramion.

(Usłyszawszy słowo «ssawek» Frymcock spojrzał mimowoli na swoją rękę i skrzywił się wymownie: lecz nikt z obecnych, prócz Ralfa, nie zauważył jego spojrzenia).

— Kiedyindziej—mówił Robert—podnosili niemi największe ciężary. Skrzydła ich nie były tak wykształcone i obciągnięte błoną, jak u ssących Erloorów, lecz składały się z rogowej substancji, jak skrzydła owadów, np. ważek.

Potrzebowałem jednak wielkiego wysiłku, aby się przyzwyczaić do tych wstrętnych twarzy, galaretowatych, wpół przejrzystych, będących jakby mieszaniną człowieka i głowonoga. Ich oczy bez źrenic, błędne i puste, jakby zamarłe, wzbudzały we mnie przez czas długi, wstręt nieprzezwyciężony: pokonałem go jednak, chcąc zbadać dokładniej te szczególne istoty.

Szukając sposobu porozumienia się z niemi, narysowałem raz węglem na desce owoc kasztanu wodnego, jako znany mi najlepiej. Pokazałem następnie ów rysunek Niewidzialnemu, który mię był zaprowadził do sali z zapasami i wytłómaczyłem na migi, iż chcę, aby mi to przyniósł.

Zrozumiał mię: najprzód powtórzył mój rysunek z całą dokładnością, następnie odleciał i powrócił nadspodziewanie szybko, przynosząc żądane przezemnie owoce.

Używałem często tego sposobu do zdobywania potrzebnych mi rzeczy, a zaprowadziwszy go raz do sali, będącej składem obrazów, wyszywanych na materjach, nakazałem mu, aby mi wytłómaczył z nich rzeczy dotąd dla mnie niezrozumiałe.

D. c. n.

(Tłom. z fran. *K. W.*).



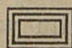
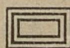
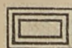
Przygrywka.

Nam potrzeba wytrwałości,
Dzielnej pracy rąk!..
Wielu nas jest, a utwórzmy
Jeden mocny krąg...

I potrzeba nam odwagi,
Zapału i sił,
Aby każdy z nas do czynu
Zawsze zdolny był...

Nam potrzebny jest tak bardzo
Woli, duszy hart — — —
A kto hartu tego nie ma —
Ten niewiele wart...

M. Ch.



BOLESŁAW PRUS.

SIEROCA DOLA.

Ciąg dalszy.

Gdy mu wróciła przytomność, poznał, że jest na ulicy, i że deszcz cokolwiek się zmniejszył. Przypomniał sobie marzenia, lecz nie mógł pojąć co to znaczy, ani zrozumieć, czy jest tym samym Jasiem, który biegał niegdyś po ogrodzie i łąkach, uciekł od Durskiego i został obdarty przez Antka? Czuł, że stało się z nim coś nadzwyczajnego i że grozi mu jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Nagle przyszedł mu na myśl wyraz: śmierć...

Śmierć w nocy, wśród pustego miasta, pod chmurnem niebem, na błocie, zdala od wszelkiej żyjącej istoty, z którą mógłby się pożegnać, lub przynajmniej rzucić na nią ostatnie spojrzenie, jakaż to straszna rzecz!... Dokoła niego jest tylu ludzi, a żaden ani pomyśli o tem, że o parę kroków nędzne dziecko ma umrzeć!...

Ogarnęła go rozpacz; chciał pukać we drzwi i wołać: „Zlitujcie się!"... Po chwili jednak uniesienie przeszło, a Jaś ruszył dalej i począł mówić podniesionym głosem:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu"...

Stracił on już poczucie bytu. Myśl zwróciła się ku Bogu i matce, a sztywniejące nogi niosły go kędyś... Dokąd?... Zapewne do ciemnej krainy, z której nikt nie wraca.

Bez planu i wiedzy znalazł się w Alejach Jerozolimskich i szedł środkiem drogi, ku Wiśle.

Zdawało się, że niebo leje łzy nad tym żyjącym atomem, który, jak umiał, polecał Stwórcy duszę, pełną żalu i niewymownej trwogi.

. . . .

9. Przyjaciel.

Pan Anzelm stanął w Warszawie w wigilję Nowego Roku. Wynajął pokój w hotelu Polskim i nie tracąc ani chwili czasu, poszedł do domu, w którym, według słów Jasia, powinien był rezydować opiekun sieroty.

— Czy tu mieszka pan Karol?—zapytał szlachcic stróża, zatrzymując się w bramie.

— Tu, na pierwszem piętrze, ale musi go niebyć, bo dopiero co wyszedł.

Szlachcic sięgnął do portmonetki, a stróż zdjął czapkę.

— Nie wiesz, mój przyjacielu,—mówił dalej szlachcic — czy u pana Karola jest taki mały chłopiec, Jaś?...

— Aha!... to ten, co mu matka w lecie z głodu umarła?... Był on tu, ale teraz jest u krawca, u Durskiego i nawet nigdy u pana nie bywa.

Usłyszawszy o śmierci z głodu, pan Anzelm wstrząsnął się. Potem zapytał stró-

ża o adres krawca, dał mu dwa złote, i gniewny, kazał się wieść w okolicę Starego Miasta.

W magazynie ubiorów męskich znalazł tylko jejmość panią Durską. Gdy ją zapytał o Jasia, tłusta dama, załamując ręcę, krzyknęła:

— Ach, mój panie serdeczny! także pan trafił... Imaginuj pan sobie, że ten łajdak Jędrek, o ten, co się za szafę chowa, okradł nas, a mój stary — posądził Jasia! No, i wyobraź pan sobie, że biedny chłopiec uciekł!... A takem go kochała! Przepadam za nim, mówię panu!...

— Mniejsza o to, — przerwał szlachcic, oblewając się rumieńcem, — ale gdzie on jest teraz?...

— Otóż to, że nie wiemy, drogi panie! — jęknęła przestraszona majstrowa. — Albo ja wiem?... może się zabił, a może się zastrzelił?!...

— A do stu tysięcy djabłów!...—krzyknął rozgniewany szlachcic, tupnąwszy nogą.—To wy się tak opiekujecie sierotami w Warszawie?...

— Ach, dobry panie!... ach, szlachetny panie!...—lamentowała biedna majstrowa, patrząc z trwogą na sękaty kij gościa. — Ach, to ten mój... niby mąż winien, a nie ja nieszczęśliwa! Z innej ja pochodzę kondycji, drogi panie, i mogłam wyjść za urzędnika...

— Gdzież więc mąż pani?! — wrzasnął szlachcic, uderzając kijem o podłogę.

— Ach!... pobiegł przecie szukać Jasia i tego łajdaka Panewki... Jędrek! a skoczno po kuf... po pana, chciałam powiedzieć...

Chłopak szybko rzucił się do drzwi i za chwilę sprowadził majstra, który stawiał nogi w sposób bardzo niepewny, miał niezwykle bladą twarz i jak zwykle, nos amarantowego koloru.

— Gdzie Jaś?... — zapytał krótko pan Anzelm.

Durski spojrzał na wylęknioną żonę, zachwiał się na nogach jeszcze bardziej i odparł z rezygnacją:

— Uciekł, panie! choć go kochałem, jak rodzonego syna... Teraz szukam go, panie, po całych dniach, ale... że trzech kupców petersburskich spotkało mnie tu, naprzeciw w bawarji, więc...

— Zapłacęż ja wam, poczciwi opiekunowie! — mruknął Anzelm i wybiegł ze sklepu, trzaskając drzwiami.

— Spóźniłem się!... Bóg widać pogardza moją ofiarą! — szeptał szlachcic, biegnąc do ratusza.

Gdy przybył tam i zażądał, aby szukano Jasia, jeden z urzędników rzekł:

— Chłopca tego już szukają. Wczoraj był tu jakiś Panewka i zostawił szczegółowy rysopis. Twarz okrągła, włosy blond... Ubrany był w czarne palto, czapkę z daszkiem... Znaków szczególnych nie miał żadnych.

— Mnie tam nie chodzi o znaki szczególne, tylko o chłopca!... — odparł szlachcic, i obiecawszy nagrodę temu, kto znajdzie Jasia, poszedł dalej, mrucząc:

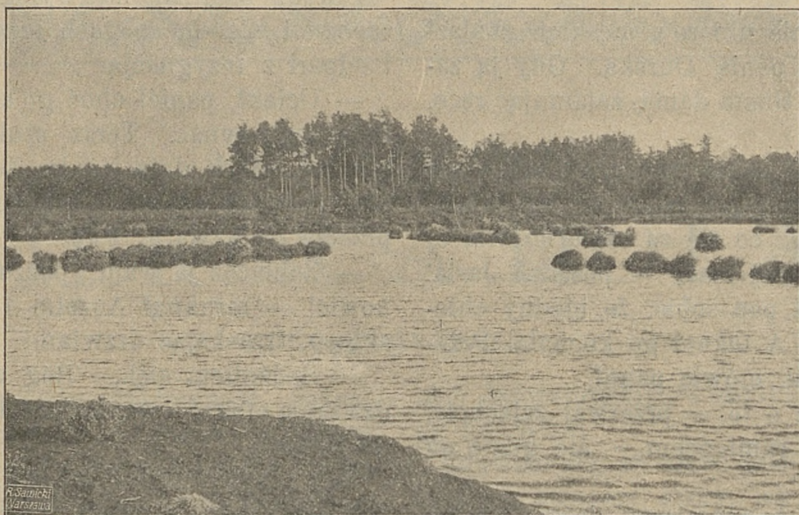
— Ciekawym, kto jest ten Panewka?... Jakiś z nizkiej klasy, ale uczciwy.

Z kolei, pan Anzelm począł obchodzić kościoły, żądając, ażeby z ambon ogłoszono o zaginięciu chłopca imieniem Jaś, ubranego w czarne palto i czapkę z daszkiem. Księża z uprzejmością uwzględnili to żądanie, dodając od siebie, że już o to samo byli proszeni przez jakiegoś nizkiego człowieka z wielką głową.

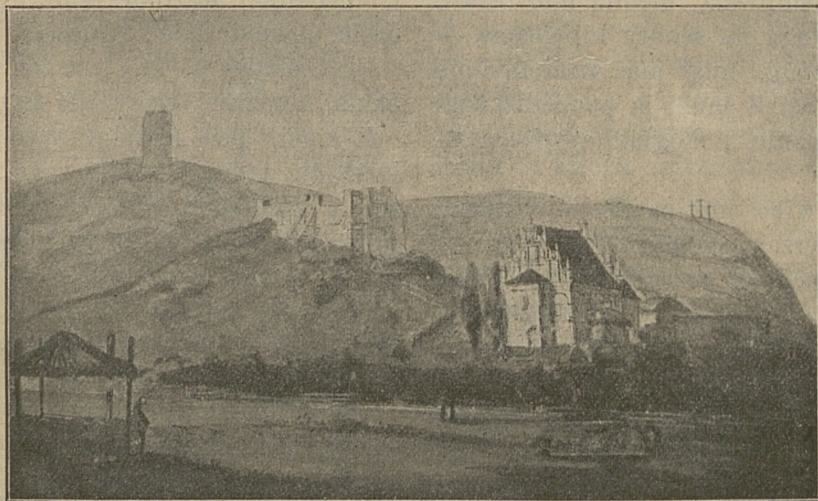
— To musi być sprytny człowiek — myślał pan Anzelm o Panewce, nie wiedząc, że ten człeczyna — kraje jak S z a b u, a głupi jak but!...

D. n.



TORFOWISKO PO WYBRANIU TORFU. (Z naszych krajobrazów).



GÓRA ZAMKOWA i TRZECH KRZYŻY (w Ojcowie). (Z naszych krajobrazów).



✲ REGALJA KRÓLEWSKIE. ✲

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

W klasztorze do 1419 r. przebywali kanonicy lateraneńscy, a gdy klasztor zniesiono, pieczę nad kościołem oddano pp. Norbertankom z Płocka, które dotąd jeszcze w części klasztoru przebywają...

W podziemiach kościoła spoczywają zwłoki Konrada II ks. Mazowieckiego i czerskiego, lecz gdzie—niewiadomo, a w kaplicy św. Augustyna zwłoki Bolesława Kędzierzawego.

Do osobliwości kościoła należy przedewszystkiem styl jego, który zachował wyraźnie piętno XII wieku, następnie dobrze zachowana „kuna” dla odprawiających pokutę grzeszników, dzwonnica, sprawiająca wrażenie wieży fortecznej.

Skończył swe objaśnienia profesor i z powrotem spiesznie udali się do oberży, by nie dać pani Marcinowej zbyt długo czekać na siebie, zwłaszcza że i profesor chciał jaknajprędzej wyruszyć w drogę, by przed nocą stanąć w Wyszogrodzie.

Wyjątkowo szczęśliwie zastali tam wszystko gotowem do obiadu i ku wielkiemu zdumieniu profesora obyło się wszystko bez zwykłych targów i sprzeczek pani Marcinowej.

Korzystając więc z tak szczęśliwego zbiegu okoliczności, mogli wyruszyć w drogę natychmiast po obiedzie.

Przestrzeń dzielącą Czerwińsk od Wyszogrodu, przebyli dość prędko, tak że nawet zmierzchać nie zaczęło, gdy ukazały się wzgórza, otaczające miasto.

— Czy to Wyszogród? — spytał profesora Pawełek, wskazując na rozrzucone po zboczach wzgórza domki,

— Tak, mój chłopcze — odrzekł mu profesor, gdy wjechali już w pełną kurzu ulicę miasteczka...

Tomasz oglądał się za oberżą, gdzieby mogli zatrzymać się na noc, lecz nie widząc nigdzie nawet i śladu jej, zapytał się o nią spotkanej po drodze kobiety.

— A toć tam jest — odrzekła mu zapytana: kiele kościoła...

Podziękował jej za wskazówkę Tomasz, i zaciąwszy konie podążył w tamtą stronę.

Naraz domki skończyły się i ukazał się im głęboki bardzo wąwóz, przez który przerzucony mostek ułatwiał komunikację z drugim brzegiem, na którym znów widniała gromada domków, z strzelającą do nieba wieżycą kościółka.

— To są dwa Wyszogrody, proszę pa-

na profesora?...— zapytał Pawełek ze zdziwieniem.

— Nie, mój kochany, jeden tylko, lecz za to przedzielony tym wąwozem na dwie części.

Tymczasem kopyta koni i koła bryki zadudniły po deskach mostu i znaleźli się znów w uliczce wioski.

Teraz, dzięki wskazówkom kobiety, Tomasz z łatwością trafił do oberży.

Pani Marcinowa udała się do niej natychmiast, by porozumieć się co do noclegu i wieczerzy, profesor zaś z Pawełkiem udali się, korzystając z ostatnich blasków zachodzącego słońca, na zwiedzenie miasteczka i jego pamiątek.

Niewiele, coprawda, było tam do oglądania. Domki drewniane, chylące się ze starości nieraz już do upadku, okolone zielenią ogródków.

Jeden tylko kościół, posiadający pewne szczątki starożytności, oraz świątynia ewangelicka zasługiwały na uwagę...

Profesor ze smutkiem spoglądał na te ślady minionej świetności miasteczka, i kiwając głową, rzekł:

— Wszystko przemija na tym Bożym świecie.... Wszystko ma swój koniec.... Wszakżeż Wyszogród niegdyś należał do najświetniejszych miast Mazowsza, stanowił stolicę oddzielnej ziemi w księstwie Mazowieckiem i własność bezpośrednią książąt od Ziemowita, syna Konrada, pochodzących. Toż już Bolesław Smiały, ufundowawszy w r. 1095 Benedyktynów w Mogilnie, wyznaczył im stąd pewne dochody. Od najdawniejszych czasów istniał tu zamek, w którym Konrad I, książe Mazowiecki, w r. 1240 udzielił schronienie Danielowi, księciu halickiemu, uchodzącemu przed najściem tatarów.

Kazimierz Wielki, chcąc otrzymać władców Mazowsza w zależności od Korony, odebrał im wszystkie miejsca obronne, między niemi i Wyszogród, który przez wybudowanie nowego zamku umocnił należycie.

Za następcy Kazimierza W., króla Ludwika węgierskiego, Władysław Opolski wyniósł Wyszogród do stopnia miasta, łącząc z nim 4 poblizkie wioski. Dzięki swemu położeniu Wyszogród należał niegdyś do najznaczniejszych miast w kraju i słynął głównie z wyrobu sukna. Wogóle kwitnął w niem dobrobyt i zamożność; czego śladem były istniejące tu jeszcze w początkach XVII wieku winnice.

Lecz przyszły na kraj cały czasy klęsk straszliwych. Nawała szwedzka szeroką falą rozlała się po kraju całym, niszcząc, do ruiny doprowadzając wszystko... I Wyszogród nie uniknął złego losu... Zrujnowany, zrabowany, chylić się począł ku upadkowi, aż doszedł do obecnego stanu.

Kościół farny, pod wezwaniem św Trójcy, istniał jeszcze przed aneksją Wyszogrodu na miasto i w 1320 r. nadany był przez Wacława, księcia mazowieckiego, księżom Bożogrobcom miechowskim, którzy po zgorzeniu w r. 1773 wznieśli nową świątynię, ukończoną w 1786 r.

Istniał tu również kościół Franciszkanów, przez Wacława, księcia płockiego w 1320 r. założony, lecz rząd pruski, po podziale Polski zagarnąwszy Wyszogród, zakonników przeniósł do Dobrzynia nad Wisłą, a kościół oddał na użytek gminie ewangelick:ej...

Tak opowiadając Pawełkowi dzieje miasta, wrócił profesor z nim do oberży, gdzie już czekała na nich pani Marcinowa z sutą wieczerzą...

Po jej minie zafrasowanej poznał wnet profesor, że jej coś dolega i odrazu spytał się ją o to...

— No bo jakżeż nie mam być złą — odrzekła mu impetycznie pani Marcinowa — kiedy to zupełnie niewiadomo co robić... W całej oberży tylko jeden pokój

jest dla gości... Więc gdzież tu się przespać?...

Roześmiał się profesor z tego jej kłopotu, i rzekłszy:

— Zaraz... zaraz... Niech Marcinowa się uspokoi... wszystko będzie dobrze — przywołał do siebie właściciela oberży, którego zapytał:

— Mój panie, czy ma pan tu stodółkę?...

— A jakże, proszę pana — odrzekł zapytany...

— A siano w niej jest?... — pytał dalej profesor.

(D. c. n.)

KRONICZKA.

△ W Dzikowie, pod Tarnobrzegiem, w Galicji, odbyła się w pierwszych dniach Września rzadka uroczystość, a mianowicie wręczenie chłopu-poecie na własność zagrody, w której będzie mógł pracować piórem i na roli, nie będąc skrępowanym ciężkiemi warunkami, utrudniającemi mu dotąd zdobycie chleba dla swojej rodziny. Poeta ów, Ferdynand Kuraś, jest poetą nawskroś narodowym: w utworach jego dźwięczy silnie nuta miłości kraju, ludu oraz wiara. Dotknięty jest ciężkiem kalectwem, gdyż utracił słuch, będąc małem dzieckiem. Z tego powodu dziękował na piśmie dostojnikom krajowym i licznym gościom przybyłym na tę uroczystość.

△ W Oksfordzie, w Anglji, wydarzyła się w ostatnich dniach katastrofa, wskutek której stracili życie trzej lotnicy. W motorze ich statku powietrznego nastąpił wybuch, a oficerowie-piloci Hotckiss i Bettington, oraz lotnik Godden, spadłszy ze znacznej wysokości, ponieśli śmierć na miejscu. Prócz tego, spadający aparat zranił śmiertelnie dwie osoby z pomiędzy publiczności.

„O własnych siłach“.

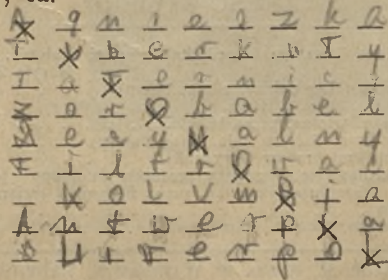
Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Bronisława S. z Rejowiec.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 9 wyrazów ~~dziewięciogłoskowych~~. Litery oznaczone krzyżykami, czytane ukośnie z góry od lewej ręki ku prawej na dół, utworzą nazwę pojazdu.

Sylaby: ku, li, ni, ni, ro, cy, tro, niesz, ber, twer, ta, lumb, an, wać, mal, bel, pol, ter, zo, ag, ły, ka, wer, bja, fil, ko, pja, de, ba, cy, tu.



Znaczenie wyrazów:

1. Imię żeńskie.
2. Inaczej zarazki.
3. Zwolennicy Tatr
4. Wódz Izraelitów.
5. System wagi.
6. Inaczej cedzić.
7. Kraj w Ameryce.
8. Miasto w Belgji.
9. Miasto w Anglji.

Łamigłówka geograficzna

ułożona przez Wład. Kw.

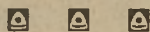
—o—

Z następujących sylab ułożyć 16 nazw miast, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko poety polskiego.

Sylaby: a, ce, cy, e, ga, ge, glar, gow, fja, is, ir, ka, kan, kar, ko, kuck, han, ma, am, pa, na, ny, te, o, y, nja, ta, rych, no, sław, wa, pol, to, was, war, ta, nja, ty, zu, nan, tów, ton, ros, se, sza, so, dam, te, ry, ster.

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Azji.
2. „ Anglji.
3. „ Francji.
4. „ Grecji.
5. „ Czarnogórzu.
6. „ Japonji.
7. „ Chinach.
8. „ Rosji.
9. „ Holandji.
10. „ Bułgarji.
11. „ Szwajcarji.
12. „ Rosji.
13. „ Polsce.
14. „ Rosji.
15. „ Hiszpanji.
16. „ Persji.



GAWĘDKA LISTOWNA.

Płomykowi z Bierwieńciszek. W podanem rozwiązaniu łamigłówki z N 29 była omyłka, a poprzednio wymienione wyrazy były właściwe.

Wielbicielowi Chopina. Muzyczną łamigłówkę zamieszczę.

Lucypera łamigłówka jest błędnie ułożoną.

Z. Bądzyńska nie dołączyła do swojej łamigłówki rozwiązania, więc umieszczoną być nie może.

Rozwiązanie łamigłówki geograficznej i zadania arytmetycznego z N-ru 34-go nadesłali: Dziusia Dąbrowska. Robert Darvel, Płomyk z Bierwieńciszek, Anielcia z Sitańca.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej, arytmografu i szarady z N-ru 35-go nadesłali: Złośnica, Zosia Nowicka, Watuś Kozerska, Janina Holstein, Telesfor z ul. Wilczej, Stokrotka-Milunia, Dziusia Dąbrowska.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 33.

1. **K**ong**O**
2. **O**ska**R**
3. **N**aka**Z**
4. **O**pol**E**
5. **P**opa**S**
6. **N**ara**Z**
7. **I**zaa**K**
8. **C**ich**O**
9. **K**rze**W**
10. **A**stm**A**

Konopnicka. Orzeszkowa.

Rozwiązanie łamigłówki kreskowej z Nr. 33.

1. **T**adzio
2. K**a**napa
3. Tu**r**cja
4. Kel**n**er
5. Krak**ó**w
6. Wacła**w**

Tarnów.

Do numeru dzisiejszego (37) dołącza się dodatek bezpłatny za Sierpień pod tyt. „Z NASZEJ POEZJI".

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Zawiedziona literatka, komedyjka w jednej odsłonie, przez Marylę Żarską 161
Pora łowów (ciąg dalszy, z rysunkiem) 164
Niewidzialni, tłom. z franc. K. W. (ciąg dalszy). 166
Przygrywka, wiersz, przez M. Ch. 169
Bolesław Prus. Sieroca dola, (ciąg dalszy). 170
Z naszych krajobrazów (2 rysunki) 172
Regalja królewskie. Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka, przez Edmunda Jezierskiego 173
Kroniczka 175
„O własnych siłach". Łamigłówki. 175

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa**. DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 7.